

Z cyklu: „Sylwetki psychoterapeutów”:

**„BO DLA MNIE NAJWAŻNIEJSZĄ SPRAWĄ JEST ZBUDOWANIE
TAKIEJ RELACJI, ŻEBY OTWORZYĆ CZŁOWIEKA, ABY MÓGŁ
POCZUĆ SWOJE MOCNE STRONY”**

Rozmowa z dr Krystyną Ostoją-Zawadzką

Wanda Szaszkiwicz — Jesteś z pokolenia psychoterapeutów, którego edukacja zarówno ta ogólna, jak również specjalistyczna bardzo się różniła od tej, jaką dostają młodzi terapeuci.

Krystyna Ostoja-Zawadzka — Tak, gdybyśmy miały rozmawiać o szkołach, w których byłam, to byłaby to rozmowa bez końca. Nim ukończyłam szkołę podstawową, byłam w dziewięciu szkołach. To było tuż po wojnie. Pochodzę z wiejskiej rodziny, więc reforma rolna nie pozwoliła nam mieszkać na terenach dawnego majątku i mama z nami wędrowała. Ojciec mój zginął w czasie wojny. Jeździliśmy po całej Polsce, ponieważ moja mama chorowała psychicznie. Było nas troje małych dzieci. Mama była nauczycielką. Szukała pracy w szkołach rolniczych, ponieważ tam dostawała deputaty — ziemniaki i w ten sposób mogła nas utrzymać. W końcu zawędrowaliśmy do Żywca i tam skończyłam liceum, po którym podjęłam studia.

W.SZ. — A tata zginął na początku wojny?

K. O.-Z. — Nie, tata był oficerem w AK. Został złapany w domu Bernadzikiewiczów i wywieziony do Pruszkowa. Nie wiadomo, co się z nim stało. W 1948 roku zostało stwierdzone, że ojciec zginął. Są przypuszczenia, że został rozstrzelany w Palmirach albo gdzieś na granicy w jakiejś fabryce amunicji. Jak Niemcy uciekali, to wysadzili całą fabrykę amunicji w powietrze. Mówiono, że tam był ojciec, ale pewnych danych nie mamy.

W.SZ. — Czy choroba mamy pojawiła się już wcześniej?

K. O.-Z. — Mama pierwszy raz zachorowała jako młoda dziewczyna, mając 19 lat. Leczona była w prywatnej klinice w Warszawie dawnymi metodami, czyli m.in. insuliną. Wzięła też niezliczoną ilość elektrowstrząsów. Wspominam to na marginesie, bo myślę, że w gruncie rzeczy na moją decyzję o studiach to nie miało wówczas wpływu. Szukałam kierunków studiów, na których nie było matematyki, ale nie dostałam się na psychologię

od razu. Moje nazwisko rodowe jest Heinrich i prof. Włodzimierz Szewczuk, który był uczniem Władysława Heinricha, zainteresował się mną. Zobaczył, że miałam bardzo dobre oceny z egzaminu chociaż, będąc dyslektykiem, narobiłam mnóstwo błędów.

W.SZ. — Czyli tak jakbyś była przyjęta z odwołania?

K. O.-Z. — Na pierwszym roku byłam wolnym słuchaczem. Profesor Włodzimierz Szewczuk pozwolił mi studiować i to był trudny rok dla mnie, bo musiałam się jakoś utrzymać w Krakowie bez pieniędzy, gdyż rodzina nie mieszkała wtedy w tym mieście. Moja mama mieszkała wtedy pod Ruścem, ale w tym czasie cały rok była w szpitalu w Kobierzynie. Bracia studiowali na politechnice. I wtedy mój brat Andrzej, ten, który potem zginął na Mount Evereście, wziął urlop dziekański i pracował, żebym ja mogła rozpocząć studia. Tak zresztą zrobił też wcześniej najstarszy brat, gdy Andrzej rozpoczął swoje studia.

W.SZ. — Niezwykle solidarne rodzeństwo.

K. O.-Z. — Tak, byliśmy zżyci ze sobą. Tuż po studiach nie miałam swojego domu, w którym mogłabym się zatrzymać, więc przez jakiś czas mieszkałam w hotelu robotniczym w Skawinie. Ale w domu było powiedziane, że kto pierwszy skończy studia, zostanie zaproszony przez brata mojej matki, który z armią Andersa wylądował w Hiszpanii, potem znalazł się w Brazylii. Wuj zaprosił mnie. W czerwcu skończyłam studia, a w grudniu pojechałam do Rio de Janeiro. Tam byłam ponad rok i stażowałam w ośrodku rehabilitacyjnym. Po powrocie zaczęłam pracować w poradni rehabilitacji zawodowej dla inwalidów i tam pracowałam przez 8 lat. Konsultantem był tam wówczas (jeszcze bez doktoratu) Adam Szymusik i on zaproponował mi pracę w klinice, gdy już wróciłam do Krakowa. W Brazylii praca polegała na dostosowywaniu stanowisk pracy do potrzeb inwalidów. To była ciekawa, pionierska praca. Trzeba było znać te stanowiska pracy i możliwości kompensacyjne niepełnosprawnych osób.

W.SZ. — Czyli tam, w Rio de Janeiro, był taki imprinting. Potem doktorat robiłaś też z psychologii pracy?

K. O.-Z. — Pracę magisterską pisałam o hałasie. I robiłam jednocześnie specjalizację z psychologii klinicznej, ale zawsze mi się wydawało, że te kliniczne tematy są tak bogate i trudne, że ja sobie z nimi nie poradzę. A że jestem pracowitym człowiekiem, to wiedziałam, że pracę opartą na statystyce zrobię bez żadnego wysiłku.

W.SZ. — Wróćmy jeszcze do początku studiów, powiedziałaś o pierwszym, trudnym roku psychologii, a trzeba wiedzieć, że były to także początki tego kierunku na uniwersytecie. Kogo na psychologii spotkałaś z prowadzących zajęcia, kto miał wpływ na Ciebie, kogo podziwiałaś, wspominasz i dobrze pamiętasz?

K. O.-Z. — To byli wielcy ludzie, na przykład prof. Roman Ingarden, u którego zdawałam egzamin z filozofii. Było nas 13 osób na roku, to był taki pierwszy eksperymentalny nabór: 6 osób tuż po maturze, pozostałe osoby albo skończyły już studia, albo kończyły medycynę. Pan prof. Ingarden mówił do nas po polsku, francusku, niemiecku i my w ogóle nie wyobrażaliśmy sobie, jak będzie wyglądał egzamin. I wtedy profesor powiedział, że każdy musi wybrać sobie temat rozmowy. I to było fantastyczne, pamiętam, że wybrałam pozytywizm. To było bardzo, bardzo miłe spotkanie. Pamiętam wykłady, połowę z tego rozumiałam; taki wielki człowiek emanował erudycją, oryginalnością myśli. A zarazem był bardzo ludzki. Zawsze piesek leżał u jego stóp.

W.SZ. — Charakterystyczne jest też to, że tak dojrzałe Was traktował.

K. O.-Z. — Tak, to była bardzo przyjemna długa rozmowa, egzamin trwał 40 minut. Zawsze nam mówił, że filozofia jest wielką nauką i bardzo się cieszy, że my mówiąc, że nie wszystko rozumiemy — chylimy czoła przed nauką. Drugą taką postacią był profesor Stefan Szuman. Dwa lata mnie uczył i zdawałam u niego, pamiętam, że to też był niezwykle egzamin, bo z psychologii rozwojowej. Na egzaminie profesor zapytał mnie ni stąd, ni zowąd, co to jest świadomość. Ja odpowiedziałam, że potrzebuję chwilę się zastanowić, bo to jest bardzo trudne pytanie. A profesor wtedy powiedział: „Tak, pani Krystyno, to jest bardzo trudne pytanie, proszę o indeks”. Wpisał mi bardzo dobry. Nie odpowiedziałam ani słowa i zapamiętałam to zdarzenie jako coś bardzo śmiesznego. Poza tym był prof. Tomasz Strzembosz, z którym mieliśmy historię psychologii. Profesor Włodzimierz Szewczuk nauczył nas bardzo dialektycznego myślenia o psychologii, lansował psychologię postaci i myślę, że stąd wzięło się moje zainteresowanie Gestaltem. Profesor Maria Przetacznikowa była asystentką prof. Szumana i prowadziła z nami proseminarium z psychologii rozwojowej. A już na trzecim roku przybyła do nas profesor Maria Susułowska. Pamiętam, jak to wszystko nas fascynowało. Nie mieliśmy w ogóle żadnych podręczników. Jedynie dwie książeczki Tęplowa i Zaporozzka, wszystkiego uczyliśmy się na wykładach. Profesor Susułowska przyjechała wtedy ze Stanów. Na bieżąco tłumaczyła sporo artykułów i książek. Ponieważ miała kontakty z kliniką, więc na IV roku mieliśmy wykłady z psychiatrii z prof. Antonim Kępińskim, a także z prof. Spettem. To mnie naprawdę zauroczyło.

W.SZ. — Czyli miałaś szczęście do pierwszych nauczycieli na studiach. Mówisz, że korzystałaś z ich słowa mówionego bardziej niż z książek, bo tych wtedy jeszcze nie było. Przypominam sobie Ciebie później na rozmaitych konferencjach i szkoleniach notującą wykłady tak znakomicie, że inni mogli z nich korzystać. Trzeba umieć zintegrować treść wykładu, bo wszystkiego nie da się zapisać, i to na bieżąco. Rozumiem, że to wtedy się zaczęła ta szkoła dobrego słuchania i umiejętności zapisywania, jak musieliście się wszystkiego nauczyć tylko z wykładu. On musiał być zapisany!

K. O.-Z. — Tak, mnie się lepiej słucha, gdy zapisuję. Nawet jak rozmawiam z pacjentami, to zawsze sobie robię notatki i to nie przeszkadza mi w rozmowie. Jak wspomniałam, po powrocie z Brazylii pracowałam w poradni rehabilitacji zawodowej, następnie dostałam się do kliniki. Korzystając rzeczywiście z zanotowanych przez siebie wykładów prof.

Kepińskiego, Spetta oraz odbywając zajęcia w oddziale miałam już duże doświadczenie z pacjentami. Gdy mama chorowała, odwiedzałam ją w Kobierzynie i w związku z tym temat osób chorujących psychicznie był mi bardzo bliski. Równocześnie dużo się działo w życiu mojej rodziny. Urodził się nam syn. Mój mąż był alpinistą, moi bracia też się ostro wspinali (i ja też), dużo podróżowaliśmy. Pojechaliśmy w 1968 roku na 3 miesiące w podróż po Wschodzie: do Iranu, Iraku, weszłam na Demawend (Iran) jako pierwsza polska kobieta. Gdy zaczęłam pracę w klinice w 1970 roku, moja mała córeczka zachorowała.

W.SZ. — Czyli to było takie przeplatane: tutaj wciągająca Cię klinika żywa, barwna, bo następował tam rozwój, w Twoim życiu wydarzenia, które jeszcze rozszerzały horyzont. A w rodzinie stresy i problemy.

K. O.-Z. — Zanim zaczęłam pracę na etacie, to prof. Adam Szymusik zaproponował mi przez rok pracę w Klubie Byłych Pacjentów. Raz w tygodniu chodziłam do kliniki na całe popołudnie i tam po raz pierwszy zetknęłam się z prawdziwą kliniką. Teresa Reguła była tam alfą i omegą, rzeczywiście niezwykła osoba, bardzo poświęcająca się, bardzo zwracająca uwagę, żeby każdy, kto przychodzi, był zaopiekowany. To mi dużo dało, ona mnie uczyła na sprawy wykluczeń, walczyła o godność pacjentów. I właśnie wtedy, w tym momencie, gdy zaczynałam pracę, moja córka zachorowała. Leżała na neuroinfekcji z bardzo trudną, niepewną prognozą, gdyż po szczepieniu przeciwko Heine doszło do obrzęku mózgu, miała niedowład. Wzruszyło mnie bardzo to, że profesor Adam Szymusik, który był wyjątkowo opiekuńczy dla mnie, powiedział: „Krystyna, nie przychodź do pracy przez miesiąc, poproś, aby ktoś podpisywał listę obecności za Ciebie”. Tak też się stało. W tym czasie starałam się brać historie choroby pacjentów z klubu i robiłam wypisy dla siebie, aby wiedzieć na bieżąco, jaka jest historia każdego z nich. Pamiętam ten niezwykle gest ze strony profesora — pozwolenie, abym nie przychodziła do pracy przez miesiąc.

W.SZ. — To chorowanie, jak wiem, dobrze się skończyło.

K. O.-Z. — Tak, to była wielka ulga dla całej rodziny. Potem był taki czas, kiedy, jak każdy, kto przychodził do kliniki, musiałam przejść 3-miesięczny staż na każdym oddziale. To trwało rok. Poznawałam wtedy ludzi, którzy byli dla siebie życzliwi, którzy byli wszystkiego ciekawi, którzy się przyjaźnili i spotykali po zebraniach wieczornych, wtorkowych. Byłam zafascynowana nimi i atmosferą naszych dyskusji. Codziennie były zebrania południowe zespołu. Bardzo mnie to wszystko wciągnęło. W końcu jednak zdecydowałam się na pracę na Oddziale C.

W.SZ. — Mogłaś sama podjąć decyzję?

K. O.-Z. — Profesor Adam Szymusik (wtedy jeszcze docent) był bardzo wrażliwy, żeby każdy mógł robić to, na co miał ochotę. I pozwolił mi pracować na Oddziale C.

K. O.-Z. — Ten rok pracy w klubie był bardzo trudny, dla Teresy także, bo ona pełniła dyżury przy chorym profesorze Kepińskim; jego duch był bardzo obecny w klinice. Potem

zdecydowałam się na Oddział C, ponieważ ordynatorem był wtedy Leszek Treter; pracował tam też Jurek Zadęcki, od czasu do czasu przychodziła Hania Lipowska. Jurek mnie trochę zafascynował chęcią i odwagą wyjścia poza ramy kliniki z rozmaitymi pomysłami. Wtedy Jankowski trochę działał w Warszawie i wkładała się antypsychiatria.

W.SZ. — Ta chęć wyjścia poza ramy kliniki to również fenomenologia, która była pasją Jurka Zadęckiego.

K. O.-Z. — Tak, on był bujający w obłokach z tymi swoimi pomysłami. Ja byłam bardziej pragmatyczna i stanowiliśmy dobry duet. Do tego zespołu po jakimś czasie, gdy Leszek zrezygnował z pracy w klinice, a Jurek został ordynatorem, przyszli Andrzej Cechnicki i Zbyszek de Barbaro, prawie równocześnie. Wtedy ci panowie, którzy mieli dobre głowy i byli trochę rywalizacyjni ... rozpędzili pociąg! Zmiany pojawiały się w bardzo szybkim tempie. Zaczęło się w oddziale tym, że zdjęliśmy fartuchy, a pielęgniarki czepki, zaniechano wizyt przy łóżku, spotykaliśmy się w ramach społeczności terapeutycznej. Początkowo osobno pielęgniarki, osobno lekarze, potem się połączyliśmy. Ja uprosiłam prof. Szymusika o załatwienie autokaru, który raz w tygodniu wywoził pacjentów na wycieczki. Pamiętam, że profesor się zgodził, żeby zatrudnić mgr. WF Marka Kępę. To był taki okres właśnie, że sport był dla mnie bardzo ważną sprawą. Kiedy byłam jeszcze małym dzieckiem, to pamiętam, że zawsze się mówiło: „W zdrowym ciele zdrowy duch”. Przyjaciół mojego Ojca, Mariusz Zaruski, chrzestny mojego najstarszego brata, pisał pięknie: „Prowadziłeś Polaków w góry i nad morze, aby byli twardzi jak granit, a dusze mieli czyste i głębokie jak morze”. To we mnie tkwiło. Zrobiliśmy taką grupę w tym małym Klubie dla Pacjentów i Byłych Pacjentów w suterenach dla osób, które miały ochotę się poruszać. Kobiety już były w domowych ubraniach, a panowie jeszcze przychodzili z Oddziału D w pizamach. To było straszne, panie uważały, że to bardzo niehygieniczne. Rzeczywiście po lekach zapachy nie zawsze były świeże. Dr Jan Mitarski zgodził się wtedy, żeby na czas tych zajęć, z Markiem Kępą i ze mną, pacjenci ubierali swoje ubrania cywilne. I to było niezwykle. Ta grupa działała ponad rok. Bardzo byłam zadowolona, że udało się i były pozytywne opinie pacjentów oraz personelu.

W.SZ. — Ciekawe, czy teraz jeszcze są zajęcia ruchowe na oddziale?

K. O.-Z. — Nie ma. Nie ma miejsca.

W.SZ. — Miejsca? Korytarze są szerokie, przestronne.

K. O.-Z. — Myślę, że to ludzie organizują przestrzeń, dla mnie te zajęcia sportowe były ważne. A potem w zespole naszej czwórki robiliśmy różne rzeczy; wyszliśmy poza ramy kliniki. Powstał hostel i pierwszy Oddział Dzienny, którego zostałam ordynatorem. Mieścił się przy ul. Zwierzynieckiej. Wyobraź sobie Andrzeja Cechnickiego, który był moim podwładnym! Ale to niedługo trwało, bo się wycofałam, bardzo przeżywałam odpowiedzialność za to, co się działo na oddziale. Andrzej jest tak sprawny organizacyjnie, że chętnie się wymieniliśmy.

W.SZ. — Ale czułaś się dobrze na każdym etapie pracy w klinice? Czułaś swoje miejsce w klinice, czułaś się doceniana? Czułaś swoją sprawczość, możliwości realizowania własnych pomysłów? I to, że hierarchia nie była tym, co obezwładnia pracowników niższego stopnia. Ty mówisz o wielkiej osobistej sprawczości każdego pracownika, o dopuszczaniu do działania koncepcyjnego, nie tylko współtworzeniu, ale też możliwości samodzielnego wdrażania tego, co się samemu wymyśliło. Czy od początku tak było, a jeśli tak, to co o tym decydowało?

K. O.-Z. — Ja myślę, że to, że pracowałam z ludźmi, którzy mieli bardzo dużo pomysłów. Jurek był osobą bardzo pochłoniętą teorią, tworzącą koncepcję; świetnie się uzupełnialiśmy. Zbyszek był metaforyczny, prosty, tłumaczący, ciekawy wszystkiego, potrafił te wszystkie nasze działania powiązać razem. A Andrzej aktywista: działał! Ja byłam bardzo przyziemna, działająca tu i teraz, organizująca dla pacjentów różne sprawy, bez tego teoretycznego zaplecza.

W.SZ. — Ja pamiętam Twoją moc, choć nie pracowałyśmy razem w grupach. Mogłaś już być wtedy wrażliwa na relacje, w tym sensie, że to, co panowie wymyślali, trzeba było wprowadzić w życie poprzez spokojną rozmowę, dla uzyskania przymierza w słusznej, dobrej sprawie. Kiedyś żartowałam, że każdy zagraniczny terapeuta rodzinny ma swojego odpowiednika w Polsce, a potem ci w Warszawie mają takiego odpowiednika w Krakowie. I szukałam tych odpowiedników i partnerów. I wyszło mi, że Virginia Satir — a ona jest właśnie specjalistką od komunikacji i relacji — to jest Krysia Ostoja-Zawadzka.

K. O.-Z. — Myślę, że masz rację, że to była moja mocna strona, z której zdawałam sobie sprawę, ta tzw. inteligencja emocjonalna. Miałam duże wycucie różnych sytuacji, bardzo się panowie z moim zdaniem liczyli. Rzeczywiście bardzo lubiłam rozmawiać z ludźmi, lgnęli do mnie.

W.SZ. — Umiałaś zobaczyć, wyczuć, umiałaś pogodzić.

K. O.-Z. — Nie byłam rywalizacyjna, nie lubiłam siebie pokazywać. Dla mnie najważniejszą sprawą jest zbudowanie takiej relacji, w której drugi człowiek się otworzy, poczuje swoje mocne strony, pokaże, czym może świat zawojować.

Pamiętam nasze pierwsze doświadczenia w hostelu, na obozach rehabilitacyjnych. Myślę, że taką cegiełką, którą dołożyłam do wyjścia poza ramy szpitala, były obozy narciarskie, które organizowałam z pacjentami. W lecie wyjeżdżałam w góry — wiązałam ich liną, a w zimie jeździliśmy na nartach. Starłam się, żeby te obozy miały charakter kursów narciarskich. Byłam instruktorem, więc było mi łatwo zorganizować naukę jazdy na nartach, a po południu prowadzić wykłady z zakresu historii narciarstwa, konserwacji sprzętu. Każdy z pacjentów dostawał potem dyplom. Kurs kończył się zawodami z nagrodami. I chyba największy komplement, jaki usłyszałam w życiu, to był od Jacka (nie pomnę nazwiska): „Krysiu, warto było zachorować na schizofrenię, żeby nauczyć się jeździć z

tobą na nartach”. Do dzisiaj utrzymujemy kontakt. Jestem otwartym człowiekiem i lubię budować bliski kontakt.

W.SZ. — Tak, to jest dar. Twoja otwartość otwiera też innych.

K. O.-Z. — To jest dla mnie bardzo ważne w relacji, bardzo. Bez tego nie potrafiłabym pewno pracować na Łobzowskiej w Ośrodku Leczenia Nerwic.

W.SZ. — Ale wtedy w tej grupie młodych wilczków, w postaci dwóch panów i szefa, który bujał w obłokach, czułaś własne miejsce, czułaś się szanowana. Ale czy ta otwartość nigdy Cię nie kosztowała za dużo, nie miałaś jakichś przykrości z jej powodu?

K. O.-Z. — Nigdy nikt jej nie nadużył. Dla mnie takim przełomem, jeśli pytasz o naszą pracę we czwórce, bo potem zaraz dołączył zespół wspaniałych ludzi — był obóz rehabilitacyjny na Lubogoszczy, podczas którego zawsze odbywały się zebrania społeczności terapeutycznej i psychoterapia. Najczęściej to ja wybierałam grupę najbardziej zaburzonych pacjentów. Ja się z nimi dobrze czułam.

W.SZ. — Kwalifikowałaś do wyjazdu pacjentów ostro zaburzonych, psychotycznych, z objawami urojeniowymi?

K. O.-Z. — Braliśmy pacjentów prosto z oddziału, który na czas obozu przestawał istnieć, a nieliczne osoby były przenoszone na inne oddziały. Więc na obóz jechali nie tylko byli pacjenci, ale również pacjenci w ostrej fazie psychozy. Pamiętam obóz dla mnie przełomowy, kiedy właśnie z grupą pacjentów wzięłam koce i poszłam do lasu. Oni byli bardzo zmęczeni, bo poprzedniego dnia były szaleństwa wieczorne przy ognisku. Trochę spaliśmy na tych kocach, potem wąchaliśmy trawę, potem ziemię, potem wybieraliśmy drzewa, potem pacjenci krzyczeli z dalekiej odległości „tu jestem” itd.

Zawsze była zasada, że kiedy pacjenci poszli już spać, to my się zbieraliśmy i omawialiśmy psychoterapię. I panowie opowiadali o różnych toczących się intelektualnych dyskusjach, a ja opowiadałam o tym, jak spędziliśmy te dwie godziny psychoterapii w lesie, jak robiliśmy sobie bukiety, jak nawzajem to nas zbliżało i jak pacjenci zmieniali się, będąc wśród przyrody, ale doświadczając nowych wrażeń, jak wąchanie ziemi. Pamiętam, jak Jurek mnie pochwalił i powiedział, że te wołania „tu jestem” wzmacniają ego. Nagle zdałam sobie sprawę, że to, co robię, jest warte zachodu. Od tej pory zaczęłam mieć własny styl pracy, nie bałam się bardzo indywidualizować rozmaite pomysły. Zawsze byłam wrogiem stosowania tych samych zasad dla wszystkich. Na przykład, jak przyjeżdżały rodziny do psychoterapii i zdarzyło się, że zabrakło jednej osoby, bo nie chciała brać w niej udziału, to była taka zasada, że spotkanie się nie odbywa. A mnie zawsze było szkoda, że ktoś jedzie, np. z Mielca, i nie może porozmawiać.

W.SZ. — My z Ryśkiem Izdebskim w naszym zespole także nie uznawaliśmy tych sztywnych zasad. I teraz, podczas konferencji z okazji jubileuszu Krakowskiego Instytutu

Psychoterapii Stowarzyszenia Siemacha, jak usłyszeliśmy w wykładzie prof. Namysłowskiej, że to jest słuszne i obecnie obowiązujące, pomyślałam sobie, że my już dawno to wiedzieliśmy!

K. O.-Z. — Jak widziałam, że terapia małżeńska nie idzie i przypuszczałam, że może pomiędzy tą parą jest ktoś trzeci, to wiedząc, że na wspólnym spotkaniu to nie wyjdzie, spotykałam się raz z jednym, raz z drugim. Wtedy skracałam okres niedopowiedzeń, niedogadywania się, bo była tajemnica, jakiś trup w szafie.

W.SZ. — Czyli te obozy w Lubogoszczy odkryły w Tobie odwagę i własne spojrzenie oraz przeświadczenie, że trzeba elastycznie postępować, po swojemu, z intuicją kierując się tym, co dobre dla pacjenta.

K. O.-Z. — Wsłuchać się w kontekst. Myślę, że gdyby ktoś nieraz oglądał moje poczynania terapeutyczne, to by się za głowę złapał. Miałam bardzo dużo takich nietypowych zachowań. Pamiętam, kiedyś poszłam z wizytą do rodziny i była ogromna awantura między psychotyczną córką a matką. I słyszałam: „Specjalnie byłam w Licheniu, żeby modlić się o twoje zdrowie, a ty co?”. To ja mówię: „Klękamy i mówimy po trzy zdrowaśki: do Matki Boskiej Częstochowskiej, do Matki Boskiej Licheńskiej”. I to pozwoliło się im wyciszyć i rozmawiać, bo w tej burzy emocjonalnej nie przebiłabym się z niczym.

Miałam pacjenta, który miał ogromne lęki, bał się jeździć tramwajem. Powiedział mi, że potrafi to robić na siedząco, ale przychodzą starsi ludzie, wypada wstać. Dałam mu wtedy kulę mojej mamy, żeby nikt go nie wysadził z tego miejsca siedzącego i po dwóch tygodniach świetnie sobie radził. Rozmawialiśmy i analizowaliśmy, skąd te lęki, ale to jeżdżenie z kulą umożliwiło mu poćwiczenie sobie jazdy bez lęku. Mogłabym przytoczyć mnóstwo takich, myślę niekonwencjonalnych rozwiązań. Myślę nieraz, że Erickson był taki... Może dlatego miałam takie pomysły, że od dzieciństwa byłam związana z mamą, która gdy nie chorowała, była cudownym człowiekiem, natomiast w czasie choroby była trochę nieobliczalna i musiałam być czujna na rozmaite rzeczy, które działy się w domu.

W.SZ. — Czyli musiałaś się umieć przystosować do rzeczy ekstremalnych i poradzić sobie z nimi.

K. O.-Z. — Tak i to mi dało umiejętność — którą mogę wykorzystać w terapii — patrzenia i ratowania trudnych sytuacji.

W.SZ. — Które mogą coś nowego pacjentowi pokazać albo ratują w sytuacji trudnej relacji, jaka bywa w rodzinie.

K. O.-Z. — Staram się słuchać tego, co mówią pacjenci, starać się zrozumieć ich potrzeby i z nimi o nich rozmawiać. Myślę, że ważną sprawą, która mi pomaga w wypadkach, kiedy trafiają do mnie pacjenci w depresji, którzy mają ogromne poczucie winy z powodu aborcji, zdrady, rozmaitych rzeczy, jest moja świadomość człowieka wierzącego, że istnieje pokuta. Rozmawiamy, jaki rytuał pacjent mógłby stworzyć ozdrowieńczy, co

by się musiało zdarzyć, żeby przestał o tej winie myśleć? W wielu przypadkach to działa i ludzie sobie wymyślają najróżniejsze dla siebie formy pokuty. Takich swoistych sposobów mojego terapeutyzowania jest sporo.

W.SZ. — Dawno temu napisaliście ze Zbyszkciem „Możesz pomóc”, biblię nurtu psychoedukacyjnego, pomocy rodzinom osób psychotycznych. I potem może jeszcze ze dwa razy widziałam Twoje artykuły, a teraz w ogóle nie piszesz, chyba szkoda.

K. O.-Z. — Wydawało mi się, że są mądrzejsi ode mnie do pisania o psychoterapii, miałam wielki szacunek dla umysłów moich kolegów. Był taki okres, gdy dużo pisałam. W trakcie pobytu w Brazylii byłam korespondentem „Słowa Powszechnego”, jest tam cały cykl artykułów o Brazylii. Potem w okresie, gdy pracowałam u inwalidów, pisałam do rozmaitych biuletynów. Pisałam o Klubie Byłych Pacjentów. Przez wiele, wiele lat — bo przez 32 — spotykałam się z nimi, najpierw na terenie kliniki, a potem poza. Do dzisiaj utrzymuję z nimi kontakt, popatrz, mam tu rozmaite pamiątki, albumy ze zdjęciami, wpisy. Miałam drugą taką grupę, z którą się przez wiele lat spotykałam — to była Szkoła dla Rodziców przy kościele Dominikanów. Oni chcieli być lepszymi rodzicami i to był nasz cel.

W.SZ. — Czyja to była inicjatywa?

K. O.-Z. — Tak się złożyło, że jedna z osób była u nas ze swoimi problemami w poradni Zakładu Terapii Rodzin, tam się ze mną zetknęła i potem zaproponowała mi, żeby się udać do dominikanów.

W.SZ. — Czy opuściłaś całkiem Oddział Dzienny, jak powstał Zakład Terapii Rodzin?

K. O.-Z. — To była trudna sytuacja, ponieważ jak zaczęliśmy rozbudowywać tę strukturę pozaszpitalną: hostel, Oddział Dzienny, a ordynatorem był Jurek i chciał, żebyśmy się rotowali na tych oddziałach, żeby nikt nie był przypisany do żadnego miejsca. To było bardzo trudne, bo zarówno Andrzej, jak i Zbyszek chcieli mieć własne odpowiedzialności i dokonania. Powstał wtedy klinicz w zespole. Był to bardzo trudny okres i pomagał nam prof. Adam Szymusik. To były trudne decyzje, ja pracując w Oddziale Dziennym miałam świadomość, że moja tam obecność jest bardziej owocna dla pacjentów niż w oddziale stacjonarnym, gdzie dominującą rolę pełni lekarz. Tu przez całe 8 godzin pobytu pacjenta byłam z nim. Potem powstały rozmaite struktury, które włączały rodziny do pracy terapeutycznej. Najpierw poprzez wizyty domowe, potem rozmaite grupy w różnym paradygmacie, a potem zdecydowaliśmy się na grupy psychoedukacyjne i to był cykl ok. 10-12 spotkań. Przez wiele lat prowadziliśmy je ze Zbyszkciem i świetnie rozumieliśmy się ze sobą.

W.SZ. — Właśnie, i to stąd powstała ta książeczka i szkoła takiego rozmawiania.

K. O.-Z. — Żeby to Ci przybliżyć: zawsze w rzeczywistości było „pan doktor”, potem „pan docent”, następnie „pan profesor” i była „pani Krysia” — tak rodziny się do mnie

zwracały. Ja zawsze miałam dobry z nimi kontakt, otwierałam rozmaite sprawy, otwierałam ludzi, a Zbyszek umiał to wszystko nazwać, powiązać, opisać, uprzytomnić rodzicom, co się dzieje. Myślę, że to był bardzo dobry okres, zawsze bardzo dobrze rozumieliśmy się ze Zbyszkciem. Potem, jak przestaliśmy chcieć się rotować, zdecydowaliśmy, że Andrzej weźmie Oddział Dzienny i tam będzie gospodarzem, Zbyszek zajmie się rodzinami. To był rok 1979, on wyjechał do Anglii, potem po przyjeździe już chciał się uwolnić. Najpierw Zakład Terapii Rodzin był przy Oddziale Dziennym w jednym z pokoi, ale Oddział Dzienny też się rozrastał i brakowało miejsca. Klinika się rozbudowywała, powstała możliwość, żeby na strychu zrobić ZTR. Moja przyjaciółka architekt zrobiła projekt tego pomieszczenia i rzeczywiście zakład powstał. Ja miałam wielki dylemat, z kim mam pracować, czy z Jurkiem, Andrzejem czy Zbyszkciem? Już wiele lat pracowałam w psychoedukacji, poza tym ja miałam ten atut, że moja mama chorowała psychicznie, bardzo przekonujący dla rodziców, to był mój taki as. Ja byłam jedną z nich i ja wiem, że dzięki temu byłam bardziej wiarygodna. Miałam takie poczucie, że dla rodziców to jest ważna informacja, że miałam takie własne doświadczenie rodzinne. Poza tym lubiłam pracę z rodzinami, bo wiedziałam, że jednocząc ich i tworząc taką ich societias można ich zainteresować sobą i stworzyć, można powiedzieć, odrębne dziecko. Miałam wieloletnie doświadczenia w pracy z rodzinami, oczywiście nie ze wszystkimi, ale tymi, które przez długie lata były skłonne się spotykać, wzajemnie wspierać. Potrzebowały takiego oparcia. Były to jednak przede wszystkim kobiety, które trwały w trochę emocjonalnym rozwodzie ze swymi mężami, niosąc bardzo duże brzemie, jeśli chodzi o bycie rodzicem pacjenta z rozpoznaniem schizofrenii. Z drugiej strony to stanowiło ich siłę. Pamiętam, że kiedyś jednej z mam powiedziałam: „Słuchaj, Kysiu (bo to też była Krystyna), co by było, gdyby Piotrek wyzdrowiał?”. Mama powiedziała mi: „Kysiu, nie rób mi tego”. Funkcjonowała w swoim środowisku, w swojej rodzinie, wśród swoich bliskich jako ta, która jest swoim brzemieniem bardzo obarczona.

W.SZ. — Ale daje radę.

K. O.-Z. — Jest przez to poważana, uznawana.

W.SZ. — Ma głębsze spojrzenie na cierpienie i ma siłę. To daje sens jej życiu.

K. O.-Z. — Ja się spotykałam z nimi przez 36 lat, to jest szmat czasu. I przeżyłam mnóstwo bardzo dobrych historii. Wiedziałam, że one, te matki, wzajemnie sobie pomagają, że nieraz, jak komuś zabraknie leków, to sobie je pożyczają. Bardzo się lubiłyśmy, to była taka grupa, w której można było do siebie zatelefonować, zwentylować swoje trudne historie i uzyskać poczucie, że nie jest się w tym dramacie samą. Te rozmaite własne doświadczenia, które wymieniały, były dla nich dużym wsparciem.

W.SZ. — I to przesądziło o tym, że zdecydowałaś zająć się terapią rodzin.

K. O.-Z. — Ja się dobrze w tym czułam.

W.SZ. — I miałas już zasoby, którymi mogłas się dzielić. A czy był ktoś oprócz Zbyszka, kto Ci w tej grupie mógł towarzyszyć?

K. O.-Z. — Jak już stworzyliśmy ZTR, Zbyszek zatrudnił Ilonę Kołbik, którą znał z pracy u Jurka Aleksandrowicza, potem przyszła Lucynka Drożdżowicz. Na początku, gdy ta komórka rodzinna rozpoczęła pracę, była z nami przez chwilę Magda Wojnar, ale ona postanowiła zostać na Oddziale Dziennym u Andrzeja. Przyszedł Przemek Dawidowski, ale to już dalsza historia. Teraz jest to już spory zespół!

W.SZ. — A czy były pielęgniarki, takie, z którymi pracowałas, rozmawiając wspólnie z rodzinami i które edukowały się w tym podejściu?

K. O.-Z. — Taką najbliższą to była Jasia Zając, którą zawsze interesowała sprawa szerokiego kontekstu tego, co się dzieje z pacjentem. W ZTR nie mieliśmy etatów pielęgniarskich, pielęgniarki często sprawowały opiekę indywidualną w formach pozaszpitalnych i wtedy ich zainteresowania były także skierowane na rodzinę i czasem uczestniczyły w spotkaniach.

W.SZ. — Ale żadna się nie wykształciła, aby zostać w tym i tylko w tym.

K. O.-Z. — Tak mnie zastanawia teraz, dlaczego tak się stało, bo przecież dużo było bardzo zaangażowanych pielęgniarek. Może czuły się bardziej potrzebne w codzienności z pacjentami niż w rozmowach z całą rodziną.

W. SZ. — Przypominam sobie, gdy Zbyszek wrócił z Ameryki, ZTR zorganizował kurs wzajemnego kształcenia z terapii rodzin — każdy coś czytał, każdy coś referował i z tego powstała książeczka. Ty się w to także zaangażowałas.

K. O.-Z. — To była inicjatywa Zbyszka, który zawsze bardzo dbał o intelektualny rozwój, jak już byliśmy w ZTR, ale i wcześniej. Myślę, że to nas połączyło i masę osób wtedy przyjeżdżało do nas z Zachodu, pamiętasz?

W.SZ. — Tak i dzięki temu intensywna edukacja zaczęła się wtedy w praktyce.

K. O.-Z. — Deissler przyjeżdżał z Niemiec, terapeuci z Anglii i Włoch, a przede wszystkim niezapomniany, który wywarł na mnie największe wrażenie i miał największy wpływ na to, co ja dzisiaj myślę o psychoterapii: Tom Andersen z Norwegii.

W.SZ. — Masz takie ładne zdjęcie z nim u mnie w domu podczas wieczoru na jego cześć. Masz je?

K. O.-Z. — Mam kilka zdjęć z Andersenem u Ciebie.

W.SZ. — Pierwsze, co wtedy zrobił Tom Andersen, gdy do nas przyszedł, to wszedł do kuchni, gdzie zobaczył, jak Piotrek, nasz syn, miota się z ryżem, który gotował i mu kipiał. Był zdenerwowany, bo go przypalił czy rozgotował. A Andersen mu powiedział: „Wiesz co, nie przejmuj się, nikt nie będzie pamiętał ryżu. Każdy będzie pamiętał rozmowy i że młody chłopak podawał do stołu”. A na koniec pomógł mu ratować ten ryż.

K. O.-Z. — Dla mnie zdania, które on wypowiadał, a które wszystkie sobie zapisywałam skrzętnie, głęboko we mnie mieszkają. Chyba najbardziej takie „my jesteśmy słowami, które w nas mieszkają i każdy koduje jakoś swoje przeżycia i warto je odszyfrować”. I żeby znaleźć optymalną różnicę, tak się dostroić, żeby nie było ani za mało niezwykle, ani zbyt niezwykle, tylko akurat. On całym sobą akceptował drugiego człowieka, to było dla mnie też niezwykle. On w swoim wizualnym obrazie był skupiony na człowieku, był wtedy dla człowieka.

W.SZ. — Z wielką delikatnością uczuć przy tym.

K. O.-Z. — Niezwykle dyskretny, rozumiejący wszystko. Widzę do dziś jego twarz, był dla mnie największym autorytetem.

W.SZ. — Potem był jeszcze Klaus Deissler, który robił konsultacje obecnych przy tym rodzin, będących w terapii; pogłębiała się nasza wiedza i przydawała w praktyce.

K. O.-Z. — I jeszcze była Virginia Satir, którą widziałam na konferencjach; taka osadzona na ziemi kobieta. Bardzo preferowała to, żeby zobaczyć człowieka pozytywnie, jego mocne strony, żeby uwierzyć w jego możliwości i razem z nimi je odkryć, bo ludzie często nie wiedzą, jakie mają mocne strony. Salvador Minuchin z kolei za ważną sprawę związaną z rodzinami uważał zobaczenie granic, ról.

W.SZ. — Myślę, że wtedy też ruszyły kursy, psychoterapia zaczęła rozwijać się w sposób bardziej profesjonalny. Powstawały różne szkoły, ośrodki szkolące i powstał też w Zakładzie Terapii Rodzin kurs terapii rodzin, potem całościowy. Ty też się w tym znałaś, miałam wrażenie, że dobrze zostałaś przyjęta przez grupy szkolące, dobrze się w tym czułaś. Lubiłaś prowadzić genogramy...

K. O.-Z. — Tak i nadal je lubię i dobrze się czuję, prowadząc szkolenia. Bardzo dużo genogramów robiłam na Śląsku, bo tam mieliśmy kurs. Pamiętam, że był taki okres, że wszyscy się wycofali i robiłam genogramy dla całego kursu. To były arcyciekawe genogramy. Jeździłam przez wiele lat do Białegostoku, gdzie również robiłam genogramy. Tam też jeździłam do zespołu opiekującego się pacjentami z rozpoznaniem schizofrenii. Z całym zespołem wchodziliśmy do domu na wiele godzin, omawialiśmy strategię i budowaliśmy program dla osób zainteresowanych problemem. Wybieraliśmy osoby pomocne spośród sąsiadów i innych osób ze środowiska pacjenta.

W.SZ. — To rzeczywiście niezwykle doświadczenie!

K. O.-Z. — Wracając do kursów: najpierw tworzyliśmy program, przez wiele godzin dyskutowaliśmy o nim. Każdy wtedy mógł wybrać sobie temat, w którym czuł się wygodnie. Napisałam o cyklach życia rodzinnego, o mitach, o żałobie. I to były tematy, które na początku szkoleń były domeną, za którą odpowiadałam, ponieważ naczytałam się sporo na ten temat. Potem z biegiem czasu zaczęliśmy się zamieniać tematami, bo to przypisanie do nich stawało się trochę nudne. W ZTR dużo czytaliśmy i wymienialiśmy swoje poglądy i doświadczenia, wszystkie psychoterapie nagrywaliśmy na taśmach. Wybieraliśmy sobie taśmy, które były ilustracją naszych teoretycznych szkoleń. Jeździliśmy po całej Polsce: Łódź, Wrocław, Lublin, Kielce, Śląsk.

W.SZ. — Myślę, że Twoje miejsce w zespole — bo jak mówisz o początkach było trzech panów i jedna pani Krysia — wynikało z Twojej kobiecości, ale też z inteligencji emocjonalnej. Wszyscy byli bardzo blisko siebie. Z czasem w szerszym zespole, ostatnim, w którym pracowałaś, wiele się zmieniało, opowiedz o tym, proszę.

K. O.-Z. — Oficjalnie byłam zastępcą kierownika, zastępowałam Zbyszka. Czułam się akceptowana. Byłam w dobrych relacjach, bliskich z Lucyną, ze Zbyszkiem, a potem z młodymi pracownikami. Ale też myślę, że trudno było zespołowi ze mną, bo ja byłam niekonwencjonalna, robiłam po swojemu. Nie lubiłam terapii z szybą, wydawało mi się, że ona hamuje otwartość, że jest to świetne dla dydaktyki, ale dla rodziny nie fair, żeby ktoś ją podglądał, a jej członkowie nie wiedzą, jak ci „ogładcze” reagują na to, co oni mówią. Więc często to było dla mnie trudne. Pytasz, jakie było moje miejsce. Ponieważ miałam duże doświadczenie, często pytano mnie o moje zdanie. Liczono się z moją oceną, natomiast ja nie lubiłam istnieć w takim sensie, żeby wygłaszać swoje sądy. Niechętnie zabierałam głos. Nie ufam do końca swojemu stylowi prezentacji, wydaje mi się, że jest wiele osób, które je robią znacznie lepiej. Ja się dobrze czuję w drugim szeregu. W takim gronie klinicznym ja nie muszę się prezentować, nigdy w życiu nie chciałam pełnić jakiejś ważnej roli, nigdy bycie na świeczniku mi nie imponowało. Zbyszek nie zmuszał mnie, abym się pokazywała na zewnątrz, aczkolwiek na różnych kongresach prowadziliśmy warsztaty i wtedy nie było mi trudno się znaleźć.

W.SZ. — A związałaś się z młodymi pracownikami ZTR, czy to już było inne pokolenie?

K. O.-Z. — Jak już przyszła Bernadetta Janusz, a potem inne osoby, mnie już tam nie było. Za czasów rządów Millera w 2000 roku, ktoś, kto skończył 60 lat, przechodził, niestety, na emeryturę, teraz już takiego wymogu nie ma. Wtedy wiele osób równocześnie: chyba Stasia Szymusikowa, Basia Moné-Dzikowska i ja kończyłyśmy 60 lat i powiedziano nam „żegnajcie”! Ale bardzo jestem wdzięczna Zbyszкови, że potem przez szereg lat pozwolił mi uczestniczyć w kursach, pracować w ten sposób, być nadal w środowisku.

W.SZ. — W jaki sposób Ty się rozstajesz? Niektórzy koledzy bardzo rozstania odchodzą. Jest to z pewnością bardzo indywidualne, zależy od wielu czynników, takich

jak cechy osobowości, cechy zespołu, do którego się należy, głębokości więzi z nim. Ktoś powiedział, że mimo iż odszedł z własnej woli i chęci, to potem wydawało mu się, że nadal jest w tym kieracie, budził się i chciał iść do pracy. Nie miał umiejętności rozstania emocjonalnego, skończenia czegoś, żeby móc zacząć coś nowego. Bo ja uważam, że trzeba dokończyć jedno, żeby się otworzyć na coś nowego, nowe światy czy propozycje.

K. O.-Z. — Dla mnie to było oczywiste, normalne. Przez jakiś czas przychodziłam na jakieś uroczystości związane z opłatkiem czy ktoś do mnie dzwonił, ale z czasem doszłam do wniosku, że oni żyją już innym życiem, ja mam swoje. Zaangażowałam się w inne sprawy: pracowałam w Myślenicach, przez wiele lat spotykałam się z grupą rodzin pacjentów.

W.SZ. — Teraz już nie przyjmujesz pacjentów?

K. O.-Z. — Nie, z chwilą kiedy skończyłam 75 lat, pomyślałam, że muszę być uczciwa wobec moich pacjentów. Nie wiem, czy chciałabym sama chodzić do kogoś, kto jest aż tak leciwy. Czasem jeszcze mnie ktoś uprosił. Jak przestałam pracować w klinice, zaczęłam praktykę prywatną; taką największą grupą były pacjentki z anoreksją. Ja sobie świetnie radziłam z nimi. Miałam tych pacjentek bardzo dużo, bo dr Rostoczyńska z Instytutu Pediatrii mi je przysyłała. Są bardzo bliskie pacjentom schizofrenicznym i ja je rozumiem. Myślę, że wielu osobom pomogłam, oczywiście każdy pacjent z rozpoznaniem schizofrenii, anoreksji, każdego rozpoznania, potrzebuje indywidualnego podejścia, tutaj reguł nie ma. Myślę, że to są ludzie, którzy potrzebują dużo miłości i wsparcia, pokazania ich wartości, żeby mogli zaistnieć. Ja z nimi wchodzę w bardzo bliskie relacje i to pomaga. Nieraz z Ireną Namysłowską wiele godzin o tym przegadałyśmy, że ona również postępuje z pacjentami niekonwencjonalnie. Bo wiesz, że my się z Ireną przyjaźnimy od wielu lat, jej mąż jest moim szkolnym kolegą z liceum. Pacjenci, o których mówimy, mają bardzo niepewny autoportret własny i sztuką jest, żeby im pokazać i odkryć w nich mocne strony. Żeby oni zaznali swojego sprawstwa. Tischner tak kiedyś pięknie powiedział, co to znaczy być samowystarczalnym — samemu walczyć, samemu nadawać kierunek, ulec własnej sterowności. Ci pacjenci w dzieciństwie nie dostali od rodziców należytego komunikatu: jesteś fantastyczny, stać cię na wiele. Im trzeba to powiedzieć w trakcie terapii.

W.SZ. — Jak to powiedzieć, żeby było przyjęte, usłyszane i rzeczywiście przeżyte. Powiedzieć można, tylko to może drażnić, jeśli nie będzie spójne z tym, co pacjenci czują w kontakcie z terapeutą. Ty widocznie masz dar czy umiejętność zobaczenia tej wyjątkowości człowieka.

K. O.-Z. — Bo każdy ją ma, tę wyjątkowość. Tom Andersen pięknie mówił o eksternalizacji symptomu: jeśli uda się stworzyć tandem z pacjentem w obalaniu objawu, to wtedy w wielu wypadkach uruchamiają się niedostrzegane przez niego możliwości kompensacyjne jego funkcjonowania.

W.SZ. — Wiem, że prowadzisz jeszcze superwizję. To jest nitka zawodowa, która jeszcze Cię trzyma w roli.

K. O.-Z. — Poupraszali mnie jeszcze. To już ponad 20 osób, które doprowadziłam do certyfikatu, to dużo. Wiele osób mam z Łodzi. Zawsze się dziwię, że chcą przyjeżdżać. Z tamtego środowiska wypromowałam siedem osób, ale też wiele z Krakowa. Bardzo lubię prowadzić superwizję, patrzeć, jak ludzie się zmieniają, jak stają się samodzielni, jak nie pouczają pacjentów, jak uczą się podążać za ich możliwościami.

W.SZ. — Myślę, że Ty przez swoją wyrazistą osobowość jesteś nauczycielem, wzorem. Nie nakazujesz, tylko pokazujesz, jak można.

K. O.-Z. — Nie potrafię powiedzieć, czy mam taką umiejętność. Na pewno superwizja ma pewne fazy. W ogóle lubię odkrywać w ludziach to, czego oni sami nie widzą, dla mnie to jest bardzo ważne. Gdy mam takiego superwizanta przed sobą, to on najczęściej pokazuje skośność, umiejętność intelektualnego zrozumienia danego tematu, a przecież pacjent jest często głuchy na sygnały interpretacyjne. Trzeba popracować nad tym, aby zrobić z tego superwizanta człowieka, który potrafi wejść z pacjentem na równoległy poziom relacji, nie skośny. I jeszcze nad tym, żeby miał frajdę z tego, że staje się twórcą nowej osoby — nie poprzez autorytet i mądrość swoją, ale poprzez nauczenie go współbycia, innego przeżywania świata.

W.SZ. — My to zrozumieliśmy, jak robiliśmy badania, jeszcze pod kierunkiem profesor Marii Orwid, na temat tego, jak pacjenci i ich rodziny przeżywają wizyty i leczenie domowe. Czy je lubią, czy nie, co uważają w naszych działaniach za przydatne, pozytywne, a co za opresyjne. Robiliśmy to z Zespołem Leczenia Domowego Kliniki Dzieci i Młodzieży. I okazało się, że najwyżej punktowane były nie żadne mądrości, wybitne interpretacje, tylko życzliwość i akceptacja ze strony terapeutów. Pamiętam, chociaż brzmi to jak anegdota, że wpisywano, iż działanie leczące miało „uśmiech terapeutki”.

K. O.-Z. — Mnie się też dobrze z Tobą rozmawia, bo Ty masz właśnie tę niesłychaną akceptację ludzi. Czuje się ją od razu.

W.SZ. — Jednak — ponieważ pracowałam przez dłuższy czas z rodzinami z przemocą wobec dzieci — to się parę razy zeżliłam na rodziców, straciłam neutralność. Właśnie Marysia Orwid nam powiedziała, mnie i Ryškowi Izdebskiemu: „Wy macie już teraz oczy i uszy dookoła głowy, odkąd pracujecie z przemocą i tylko pilnujecie, żeby tej krzywdy nie było. Przestańcie to robić, nie zawsze da się upilnować”.

K. O.-Z. — Profesor Kępiński, którego pamiętam jeszcze z wykładu, mówił, że bardzo ważna jest akceptacja. Jak ktoś wzbudza w nas negatywne emocje, radził popatrzeć na niego i znaleźć choćby jego sznurowadło, które nam się spodoba. I od tego sznurowadła szukać, tak po niteczce, jego mocnych stron, co można w nim polubić — może ma ucho ładne. To jest bardzo ważne. Myślę, że nasza praca przebiega na dwóch poziomach: na

jednym słyszymy, co pacjent mówi, a na drugim zastanawiamy się, po co on to mówi, co jest ważne w tym, co mówi. Nauczenie się prowadzenia tej równoległej rozmowy jest sztuką. Dla mnie ważne jest też w superwizji, żeby jej nauczyć. Często odgrywamy takie scenki: „Co ja słyszę, a co się we mnie dzieje?”. Ja też czasami zatracam neutralność. Nieraz bardziej mnie to śmieszy, mówię sobie: „Duchu Święty, oświeć mnie, powiedz mi, co ja mam zrobić? On mnie złości, on mnie drażni” i wtedy odbywa się we mnie ta wewnętrzna rozmowa. Wtedy mówię sobie: „Daj jakąś pozytywną konotację, bo to jest lekarstwo na wszystko”. Żeby umieć konotować pozytywnie.

W.SZ. — Tak, ale to jest umiejętność, to jest sztuka, która musi być szczerą, autentyczną, a nie wydumana, bo wtedy będzie bez sensu.

K. O.-Z. — Jestem przekonana, że można się nauczyć patrzeć i działać pozytywnie. Myślę, że wtedy łatwiej sobie radzić z agresją, niezadowolaniem, milczącym pacjentem. Ludzie lubią być komplementowani.

W.SZ. — Tak, to prawda, w naszej kulturze trochę też to się teraz zmienia. My byliśmy wychowywani w duchu stawiania ocen, krytycyzmu, szukania winnego. Teraz więcej jest wzorców wspierających, podziwiających. W naszym prywatnym życiu też się one przydają. To może porozmawiamy jeszcze o tym, co w prywatnym życiu jest dla Ciebie ważne, nadaje mu sens.

K. O.-Z. — Wnuki. Mamy ich piątkę, co prawda dwoje w Ameryce, w Los Angeles, ale tu mam trójkę. Mam bardzo dobre relacje z córką, jej partnerem i z tymi dziećmi. Poza tym od 1980 roku mamy dom na wsi, dom otwarty dla wszystkich, w którym bardzo lubimy przebywać.

W.SZ. — Kiedy jeszcze pracowałaś i widywałyśmy się w klinice, a zaczęłaś wyjeżdzać tam już na piątek, to mnie zastanawiało, co tam robisz w tej Kasinie.

K. O.-Z. — Kupiliśmy tam w okresie stanu wojennego starą chałupę. Mąż był bardzo zaangażowany w Solidarność, pracował w banku i wyceniał promienne wille, potem dostawał pogróżki. Była taka możliwość, żeby wyjechać do Stanów i on z niej skorzystał, ciężko tam pracował przez rok, akurat w okresie stanu wojennego. Ja też tutaj byłam zorganizowana solidarnościowo, w moim domu odbywały się spotkania. Kolportowałam grypsy z Montelupich, bo miałam możliwości. Trochę się bałam, bo byłam sama z dziećmi. Po powrocie męża kupiliśmy tę Kasinę za czapkę gruszek. To jest stara chałupa, sama zobacz na rysunku, wokół jest 36 arów ziemi. Teraz to jest już spory dom, zrobiony jest strych. Miałam łatwość bycia blisko z pacjentami. Nieraz, jak pracowałam na oddziale i któryś z moich ukochanych pacjentów nagle zachorował, a nie było wolnych miejsc na oddziale, jeszcze Kasiny nie mieliśmy, to go brałam do domu na kilka dni. I potem do Kasiny też nieraz przyjeżdżali pacjenci i ich rodzice, odbywały się spotkania. Ja tam bardzo lubię być, trzeba trawę kosić kosą, bo nie w każdy zakątek wjedzie kosiarka. Dom jest bardzo otwarty, dużo ludzi do nas przyjeżdża. Na przykład Irena i Józek Namysłowski z Warszawy.

W.SZ. — I nadal jeździecie tam regularnie?

K. O.-Z. — Teraz mniej, bo tam jest nam zimno, jest 50 km od Krakowa. Bardzo zgodnie żyjemy z sąsiadami, są dobrzy, m.in. Justynka Kowalczyk mieszka niedaleko, jej tata nam dużo pomagał w domu. Lubię chodzić po górach, ogromnie lubię zbierać grzyby, jak tylko zaczyna się sezon grzybowy, to mogę wcześniej rano wstawać i chodzić po lesie, oboje z mężem to lubimy. Teraz to już drepczemy. Znamy cały Beskid Wyspowy, bez szlaków, mamy swoje ulubione ścieżki, po których lubimy chodzić. Co jeszcze? Żeby coś zostawić moim dzieciom, postanowiłam, że napiszę dla nich książki kucharskie, po które będą musieli kiedyś sięgnąć. Zobacz sama, to jest już cały gotowy zeszyt dla Jaśminki, a to dla Anielci.

W.SZ. — I własnym piórem przepięknie piszesz, nie na żadnym komputerze.

K. O.-Z. — Różne mam takie pomysły na starość.

W.SZ. — A nie kusi Cię, żeby napisać dla wnuków coś o rodzinie, jej historię, jakieś ważne wydarzenia spisać, anegdoty?

K. O.-Z. — Ja jestem bardzo dumna ze swojej rodziny. Nie znałam, niestety, ojca. Był grafikiem, znaną postacią przed wojną, napisał Szlaki wodne Polski, Kajakiem po Mazurach, w dużej encyklopedii PWN jest hasło z jego nazwiskiem. W zeszłym roku wyszło wznowienie tej pierwszej pozycji.

W.SZ. — Myślałam raczej o klimatach rodzinnych i o tym czasie, który przeżyłaś z rodziną pochodzenia, tą, która wiele straciła po wojnie w sensie pozycji i majątku, nie mówiąc o najważniejszych utratkach znaczących osób. A potem z tą rodziną, którą stworzyłaś.

K. O.-Z. — Józek Namysłowski dręczył mnie przez całe lata, żebym zaczęła pisać, bo ja w ogóle dużo pisałam i nie mam wielkich w tym trudności. Ktoś mi zaproponował, żeby zrobić wywiad rzekę ze mną, sięgający jeszcze wojennych wspomnień, bo przecież pamiętam i powstanie warszawskie — urodziłam się w styczniu 1939 roku. A mnie się wydaje, że to było takie zwyczajne życie.

W.SZ. — Tak można na nie spojrzeć, oczywiście. Jednak to jest historia ważna dla Twoich wnuków i prawnuków, a w szczególności tych amerykańskich. Ja to zrobiłam dla moich hiszpańskich i polskich wnuków. Spisałam historię mojej rodziny pochodzenia podzieloną na dwie części: mamy i ojca. A potem jeszcze drugą część, o naszej rodzinie nuklearnej, to, co pamiętam z naszej młodości i o dzieciach, jakie były, jak potem zakładały własne gniazda. Dzieje rodziny mojego męża napisała jego matka, w postaci autobiografii, wydanej w Wydawnictwie Literackim. Ale nie o taką prawdziwą książkę mi chodzi, sama wiesz, skoro prowadziłaś zajęcia z genogramów.

K. O.-Z. — Ja zrobiłam w 50. rocznicę naszego ślubu coś takiego, zobacz.

W.SZ. — Bardzo pięknie, to coś w rodzaju zapisu obrazami, bo różne stare i nowe zdjęcia są wklejone i starannie podpisane.

K. O.-Z. — Tak, pozbierałam... to są chłopcy moi... to jest moja mama i brazylijski wuj, który nie żyje niestety, to są urodziny Marusia, mojego syna...

W.SZ. — Tu z babcią... no piękne to jest... Hindukusz...

K. O.-Z. — Tak, dużo podróżowaliśmy z mężem. Lubimy to. To jest wysokie przejście moje, z Magdą, córką Kuby Bujaka, który był na Nanda Devi, potem zginął w katastrofie lotniczej, i z parą Szwajcarów oraz Afrykańczykiem. Robiliśmy wysoką drogę, przejście wokół Matterhornu na nartach... A tu jest klinika, pacjenci z Klubu Byłych Pacjentów. Tu jest dr Polewka. To jest mój brat Stefan, znana postać w świecie żeglarskim. Tu z obozu: Marek Kępa, Jurek i ja... I jeszcze z Kasiny, zobacz, z dziećmi i wnukami tu jesteśmy.

W.SZ. — Wy się z mężem, Rysiem, prawie nic nie zmieniacie, Dorotka dojrzała, syn się postarzał, a ciągle tacy sami! Bardzo dziękuję za to, że mi coś tak pięknego i osobistego pokazałaś. I za całą rozmowę dziękuję.

K. O.-Z. — Chciałam Ci pokazać, że coś takiego zrobiłam, bo to trochę obrazuje nasze życie.

W.SZ. — A ja na zakończenie chciałam Ci powiedzieć, że naszą rozmowę, jeśli się zgodzisz, spisze Twoja świeżo certyfikowana psychoterapeutka Anna Saramowicz, której z góry za to dziękuję!